

Straszna przygoda w starym zamczysku. Opowiadanie fantastyczne

Bardzo cieszyłem się z powodu wycieczki do starego zamku w Tenczynie, jaką zaplanowaliśmy na długi czerwcowy weekend. Pogoda zapowiadała się znakomita, wzięliśmy namioty i prowiant i wszystko wskazywało na to, że będzie to udana wyprawa. Chcieliśmy przewędrować dystans od Maciejowic, najbliższego miasteczka, do zamku, przenocować w jego okolicy, a następnie przemierzyć gęstą puszczy, rozciągającą się od północnej strony zamkowej góry i po południu wrócić do domu. Naszym opiekunem miał być ojciec Tomka, mojego dobrego kolegi, zapalony wędrowiec i turysta. To on wytyczył trasę, tak by nie była zbyt forsowna i byśmy mogli bez obaw przebyć zakładany dystans. Zadbął również o odpowiedni sprzęt i ekwipunek.

W piękną i ciepłą czerwcową sobotę wyruszyliśmy w drogę. Byłem ja, Bartek, Tomek i jego ojciec. Szliśmy szybko, ledwie zwracając uwagę na cudne widoki i ciesząc się myślą o noclegu w pobliżu zamku. Dotarliśmy tam późnym wieczorem, rozbiliśmy namioty i natychmiast poszliśmy zwiedzać zamczysko. Z jednej strony prowadziło do niego strome podejście, na dziedziniec wchodziło się przez kamienną bramę. Tu mury pięły się bardzo wysoko, za to od strony dziedzińca ścian nie było prawie wcale. Z jednej strony stała samotna baszta, połączona z krużgankiem, a raczej czymś, co było jego fragmentem. Po drugiej stronie bramy kawał muru urywał się nagle, zabezpieczony niedbale drewnianym rusztowaniem. Ponieważ robiło się już ciemno, ojciec Tomka chciał, by dokładne oględziny odłożyć na jutro, ale uprosiliśmy go, by jeszcze trochę pochodzić wśród ruin.

Weszliśmy schodami na krużganek, prowadzący do baszty. W środku ziała ogromna dziura, pewnie kiedyś zapadł się tam strop, pozostały tylko zewnętrzne mury. Dziurę można było obejść dookoła; zrobiliśmy to i zajrzeliśmy w głąb. Zobaczyłem ciemny otwór, głęboki na kilkanaście metrów, z wąskimi okienkami, przez które prawie nie wpadało już dzienne światło. Postanowiliśmy wracać – z przodu szedł Tomek, potem ja, Bartek, a na końcu ojciec Tomka. Ruszyliśmy powoli świecąc latarkami, bo było już całkiem ciemno. Nagle usłyszałem jakieś

skrzypnięcie, ale nie zwróciłem na nie uwagi. Oglądając się, widziałem za sobą snop latarki Bartka.

Wróciliśmy do namiotów i wtedy okazało się, że Bartka z nami nie ma. Za mną szedł ojciec Tomka, a nie Bartek, jak sądziłem. Nikt nie wiedział co się stało, tata Tomka był przekonany, że wszyscy maszerujemy przed nim. Bezradnie spojrzeliśmy po sobie i postanowiliśmy wrócić. Nigdzie żywej duszy, cicho, głucho i ciemno. Zaczęliśmy nawoływać: Bartek, Bartek! Kompletny brak odpowiedzi. Dopiero po chwili gdzieś z dołu rozległ się jęk, jakby w odpowiedzi na nasze wołania. Zamarliśmy z przerażenia. Tomek zaproponował, by wezwać kogoś na pomoc. Ale było ciemno, do najbliższej osady bardzo daleko, po drodze mijaliśmy jakiś samotny dom, ale było to jakieś dwie godziny drogi od zamku. W nocy taką odległość pokonalibyśmy w dwa razy dłuższym czasie.

Nagle Tomek przypomniał sobie, że w drodze powrotnej, w pewnym momencie potknął się i oparł o ścianę, by nie upaść. Kiedy to zrobił, miał uczucie, jakby ściana poruszyła się, nie zwrócił na to jednak uwagi i poszedł dalej. Z latarkami w ręku ruszyliśmy na poszukiwania tego miejsca. Po pół godzinie i dokładnym obejrzeniu kawałków kamieni i skał, tworzących mur, znaleźliśmy coś w rodzaju wystającego, płaskiego kamyka. Stanęliśmy obok niego, a ojciec Tomka przyniósł dodatkowe latarki, którymi oświetliliśmy przejście przed i za sobą. Wtedy nacisnąłem lekko kamień. Usłyszeliśmy lekkie skrzypnięcie i dwa metry dalej, niedaleko gdzie stał Tomek, część klepiska uchyliła się, odsłaniając czarną dziurę. Ojciec Tomka był chyba przygotowany na coś takiego, bo natychmiast zaświecił tam latarką. Z całej siły naciskałem na kamień, by się nie cofnął, a towarzysze spoglądali w odsłonięty otwór.

Bartek, jesteś tam? - zawołał ojciec Tomka.

Tak, wyciągnijcie mnie, proszę.... - zabrzmiał głos kolegi.

Nic ci się nie stało? - zapytałem.

Nieeee, chyba się tylko podrapałem i trochę potłukłem, ale jestem cały – odpowiedział drżącym głosem Bartek.

Tomek szybko pobiegł po jakiś kij, by zablokować zapadnię, a jego ojciec opuścił w dół linę, której złapał się Bartek. Wyciągnęliśmy go ostrożnie na powierzchnię, był strasznie wystraszony i cały dygotał. Okazało się, że w czasie upadku zgubił latarkę i nie wiedział gdzie jest.

Słyszał jak go wołaliśmy i zaczął krzyczeć, ale jego głos nie mógł przebić się przez gruby mur. Łatwo przewidzieć, że do świtu nie zmrużyliśmy oka, rankiem szybko zwinęliśmy namioty i ruszyli najkrótszą drogą do domu. Tej przygody nie zapomnę do końca życia....